



ONLINE 33

ONLINE 33

RECENZJE

RECENZJE

Tandetna piosenka na trzy serca

Cristina – kobieta wulkan. Piękna i seksowna, inteligentna i cyniczna. Rozczarowana zasadami pracy w wielkiej korporacji, w której taka dziewczyna jak ona - prosto po studiach, na dodatek w patriarchalnej Hiszpanii – może być tylko maleńkim trybikiem lub po prostu obiektem seksualnego zainteresowania kolegów i przełożonych, rezygnuje z mozolnego wspinania się po drabinie kariery i podejmuje pracę kelnerki w nocnym barze. Mimo studiów i olbrzymich przymiotów intelektualnych, idealnie wtapia się w światki narkotyków, muzyki techno i przygodnych romansów. Bez oporów przyznaje, że spała z nią połowa Madrytu. Zadowolona ze swojego życia do momentu, kiedy, jak grom z jasnego nieba, spada na nią miłość...

Ana – strażniczka domowego ogniska, przede wszystkim żona, potem matka, córka... Od dzieciństwa cicha i pokorna, całkowicie pozbawiona aspiracji zawodowych, ozdoba męża, dobry duch domu... Aż do momentu, gdy nadeszła depresja i konieczność leczenia uzależnienia od środków uspokajających...

Rosa – jej zdjęcie plus życiorys mogłyby w encyklopedii zastąpić definicję słowa SUKCES. Piękna, bogata, na stanowisku. Budząca lęk podwładnych, szacunek i podziw przełożonych. Jednocześnie

jednak samotna i uzależniona od prozaku.

Co może łączyć te kobiety? Lucia Etxebarria, autorka książki pod tytułem „Miłość, ciekawość, prozac i wątpliwości”, te trzy (mocno stereotypowe) modele kobiet połączyła siostrzanymi więzami krwi, wspólnym dzieciństwem, rodzicami, pochodzeniem. Do ich życiowych wyborów, porażek i błędów dorobiła proste wyjaśnienie – jako małe dziewczynki zostały opuszczone przez ojca. W ten oto sposób w każdej z nich narodziła się jakaś dysfunkcja. Jedna postanowiła zastąpić sobie tatusia tłumem obcych, przypadkowych facetów, druga karierą, a trzecia własną, za wszelką cenę szczęśliwą i pełną, rodziną. Każda z nich również spotkała na swojej drodze jakiegoś innego, złego mężczyznę, który poprzez molestowanie seksualne lub inną emocjonalną krzywdę, dodatkowo utrudniając bohaterkom w miarę normalne i satysfakcjonujące ułożenie sobie życia. Warto dodać, że kobiety te same zdają sobie sprawę z różnic, jakie występują między nimi i mimo pokrewieństwa, nie czują żadnej bliskości, żadnych więzów, nie utrzymują ze sobą właściwie kontaktów.

Nie da się ukryć, że słowa niezbędne w recenzji tej książki to: tendencyjna, schematyczna, uproszczona. Autorka kręgosłup powieści zbudowała na zasadzie fanatycznego, niezdrowego feminizmu, zasłoniła się tanią psychologią i bez żenady spłodziła trzy tandetne postaci kobiet – cierpiętnic układu patriarchalnego – fakt. Jednak: książka nie jest zła.

Jest dobrze napisana. Każda z bohaterek jest narratorką. Kobiety opowiadają swoje historie na zmianę, o dzieciństwie każda mówi z osobna, przez co mamy ciekawy pogląd na sprawę z trzech różnych punktów. Powieść ma układ jakby słownikowy: każdy rozdział oznaczony jest kolejną literką alfabetu, osobnym hasłem. Czyżby autorce chodziło o stworzenie leksykonu kobiecości?

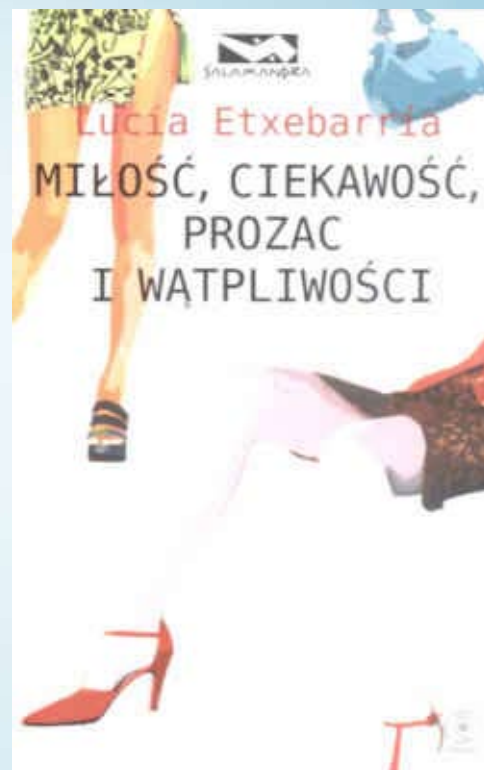
Wybitnie dydaktyczny cel książki nie przeszkodził autorce stworzyć całkiem ciekawą fabułę i, mimo wszystko, interesujące postaci, co jest sporym sukcesem. Czyta się z przyjemnością i bez większego zażenowania, choć nawet zakończenie wydaje się być tendencyjnie: miłość siostrzana zwycięża zło, jedna z bohaterek odnajduje spokój wewnętrzny w wyniku uświadomienia sobie skłonności homoseksualnych, dwie pozostałe też uczą się odkrywać swoje potrzeby i walczyć o własne szczęście. Do pełnej harmonii brakowało mi tylko cudownego odnalezienia ojca, który poniósłby zasłużoną karę za opuszczenie rodziny, najlepiej w postaci śmierci w męczarniach....

Jeśli oceniać tę książkę tylko z literackiego punktu widzenia, to Lucia Etxebarria zasłużyła na sporego plusa, bo przecież dobra literatura, zwłaszcza na wakacje, to taka, która czytelnika nie nuży, a wręcz wciąga, taka, którą się czyta z przyjemnością po prostu.

Jeśli jednak spróbujemy cenić przekaz, który ta powieść (o wyjątkowo długim tytule) niesie, to po-

jawiają się schody. Jakkolwiek potępiam patriarchat (nie tylko hiszpański, rodzimy również), uważam, że kult macho to głupota, a równouprawnienie w każdej dziedzinie życia społecznego powinno być standardem, to jednak jak niepodległości będę broniła poglądu, że nic tak nie szkodzi feminizmowi, jak przesadne zacietrzewienie, nieodmiennie popychające takie dziełka jak omawiane, na granicę śmieszności.

Lucia Etxebarria,
Miłość, ciekawość, prozac i wątpliwości,
tłum. Monika Betley,
Wyd. Rebis, Poznań 2007.



Trzy razy pożądanie proszę!

Czytały są „fajne”. Tak zwyczajnie – bez dobierania filozofii, bez tłumaczenia się, bez wstydu, po prostu „fajne” – i absolutnie nie mogą być ambitne, kształcące, czy z tzw. misją! Jeśli któryś z czytelników już koniecznie MUSI dołączyć pożytek do przyjemności, z czystym sumieniem można tu wspomnieć o pewnej istotnej roli takich powieści: stanowią – mimo wszystko i wbrew pozorom – ciekawe studium psychospołeczne. Są, może krzywym, ale jednak, zwierciadłem społeczeństwa, gdyż przedstawiają nie tyle portret, co chętnie wkładaną maskę, wymarzony kapelusz z woalką, który zakrywa, co nieładne, a eksponuje, co modne. Kłopoty mogą rodzić się przy czytadłach, przekraczających granice swego gatunku, takich, które próbują być „bardzo ambitne” i nagle przestają być „fajne”... – ale taki skomercjalizowany surrealizm literacki zapewne także znajduje swoich fanów. Jedno ostrzeżenie, które tyczy się wszystkich czytadeł bez wyjątku: nie mogą po nie sięgać zdeklarowani realiści, ale pozostali? Czemu nie!

W bieżącym roku wydawnictwo „Replika” zaprezentowało na polskim rynku cykl książek o podobnym poziomie, szacie graficznej i tematyce: nie-nazbyt-skomplikowanych, optymistycznych, z młodymi (zakochanymi, stęsknionymi, porzuconymi,

nieodmiennie samodzielny) bohaterkami oraz z „aktualną” i „społeczną” problematyką. Jednym słowem, właśnie owe książki, które „są fajne”. Aby wyraźniej przybliżyć wachlarz propozycji czytelniczych „Repliki” można by tu zestawić trzy tego typu powieści: autorstwa Anny Fryczkowskiej, Liliany Fabisińskiej oraz Renaty Górskiej. W rankingu na „najfajniejszą” wśród nich wygrywa ta pierwsza – książka Fryczkowskiej – o zachęcającym tytule „Straszne historie o otyłości i pożądaniu”. Opowieść ta rzeczywiście dokładnie o tym traktuje: o ciele budzącym agresję, a idealnym ciele jako źródle obsesji, o pożądaniu ciała – cielesnym – o pożądaniu pożądania, o ciele pożądania... – a wszystko to w smakowicie opisanym miejscu o znamionach reżimu łączy zakonnego – NA WCZASACH ODCHUDZAJĄCYCH. Gdzie zamiast jutrzni – marszobieg, zamiast mszy porannej – śniadanie 200 kilokalorii, zamiast nieszpórów – step, zamiast spowiedzi zbiorowej – ważenie. Dwie główne bohaterki „Strasznych opowieści..” pożądają, ale w jakże odmienny sposób! Baśka jest ostra, bezkompromisowa i agresywna, tym ostrzejsza i bardziej zasadnicza, im mocniej przypomina sobie, że kiedyś BYŁA DOSKONAŁA. Miała na własność istne skarby: magiczny rozmiar zero garderoby, krańcowe opanowanie woli plus dumnego z jej figury męża – dokładnie w tej kolejności. Mąż ją porzucił, gdy na skroni Baśki pojawił się pierwszy siwy włos, a w okolicy tajemnicza, atrakcyjniejsza od żony, kobieta. Baśce pozostało

jedynie pogardzane do tej pory jedzenie – cudowna tarcza przed bolesną rzeczywistością, mur wzniesiony z tortu makowego z kawowym kremem, szanice z pieczonego kurczaka, wały z jajek w majonezie... Broń obosieczna dla jej smukłej talii, doskonałych ud, nieskazitelnych konturów twarzy. Baśka w końcu poczuła się permanentnie i trwale nieszczęśliwa, a co za tym idzie – stała się agresywna, tak wobec siebie, jak i wobec otaczających ją ludzi. Na turnusie odchudzającym od początku mierzyła wszystko i wszystkich nieprzychylnym spojrzeniem: „precz z bielizną na widoku!”, „poduszka pachnie cudzymi snami”, „towarzystwo obcego człowieka to gorsze niż noc poślubna”... Swoją turnusową współlokatorkę, Janinę, określiła jako obraz żalostnej psychologicznej sztam-py w kobiecym wydaniu: ot, taką od polskich kosmetyków, pamiętnika, romansideł, telewizyjnych seriali oraz kulinariów z popularnych gazet. Janina rzeczywiście czuje się „parszywym hipopotamem” wśród tych wszystkich zdeterminowanych do szaleństwa kobiet – w tym przede wszystkim Baśki, ale nie zamierza okazywać skruchy. Chce pozostać sobą, w czym wspiera ją pewna skrętnie skrywana tajemnica: ona przyjechała na wczasy odchudzające nie po to, by zmienić ciało, ale dać odpocząć duszy! Janinę także mąż opuścił, ale inaczej – po prostu umarł. W tym stadle to on był

doskonały – jak Baśka w swoim, a ona, ośmieszająca go żona – pełniła w towarzystwie i na co dzień funkcję chłopca do bicia. W końcu jednak Janina wyzwoliła się z kręgu krytyki wyznaczonego zakazującym palcem męża, znalazła samodzielność i chyba wszystko, co wprawia z zadowolenie każdą spełnioną kobietę: towarzystwo mądrych przyjaciółek, zrozumienie „siebie wewnętrznej” oraz wymarzonego (któż by się spodziewał!) kochanka – najpierw takiego „od okazji do okazji”, później aż nazbyt „bliskiego”. Baškę za to ściga powtarzający się koszmar nocny: tajemnicza ONA na ostrych jak brzytwy obcasach, czyli tak naprawdę rzeczywisty obraz jej wnętrza, prawdziwe ja, sobowtór mentalny. Tak więc nieszczęsna, niewyspana Baśka chce zapomnieć o wszystkim: o przemijaniu, mężu, swoim pogardzanym ciele, a jednocześnie chce zatrzymać bezlitosny czas i bezustannie myśli o tym, jak dobrze, że zabiegi, masaże, korygujący szlam kosmetyczny „wypalają znaki czasu”... Janina za to chce wszystko zapamiętać i utrzymać. Nawet ciało, które, zdawałoby się, niekoniecznie może akceptować. Ów magiczny kochanek nauczył ją przecież pewnej rzeczy: że nawet niedoskonałość zyskuje tak wyczekiwane, szeroko rozumiane, pożądanie, byle była chętna do życia, miła, normalna, żywa... Po prostu NAMIĘTNA. Taka jest Janina,



która chrupie sezamki, chodzi w ulubionej halce, śpi w maminej koszuli w kwiatki i w ogóle lubi życie, a martwi się jedynie tym, jak odsunąć problematycznego kochanka... CZY odsunąć...? Biedna, porzucona Baśka, która każdej nocy potwierdza swą wewnętrzną martwość, która codziennie śni, że umiera, zabija się, tonie w zimnych zielonych wodach kanałów Wenecji. Symbolem Janiny jest sezamek podjadany cichaczem, palec zbierający resztkę kremu z talerzyka po ciastku (to tym zachwyciła mężczyznę, który... porzucił chudą, doskonałą, zimną Baškę – swoją żonę, „modelkę, królowę, która ma tylko ładnie wyglądać”). Baśka zaś nazywa swe ciało „wysłużonym kombinezonem skóry” i nawet we śnie boi się dotknąć ciastka z bitą śmietaną. Doskonałość nie jest dobra w swej całej sztuczności jako wbrew pozorom szara, niechciana jak brak bliskości drugiego człowieka, który zmienia się w duchowy wieczny głód.

Liliana Fabisińska w swoim „Arbuzowym sezonie”, drugiej polecanej tu pozycji „Repliki”, nie stworzyła podobnie udanej historii. Z jej prozy wyraźnie przebija wysiłek, jaki włożyła, aby wiarygodnie wczuć się we wnętrze „prawdziwego mężczyzny”. Zaowocowało to portretem bohatera zniewieściałego i czułościowego, wcieleniem kobiecego wyobrażenia o „trochę innej” wersji siebie. Ów narrator, to, po pierwsze, wraz

liwy zapachowiec: ciągle opowiada o zapachu oliwki dla niemowląt, arbuzowych perfumach, szamponie pokrzywowym, których to kosmetyków używa jego mityczna Adela – kobieta, bogini i szefowa (dodajmy: szefowa, która uwiodła go jako swego „sekretnikę” – tak arbuzowy bohater o sobie mówi i tak się czuje). Narrator, główna postać męska powieści, z założenia miał być delikatny, miękki, złakniony uczucia, skrzywdzony przez okrutną, ludzką wersję modliszki... – jednak tak naprawdę aż paruje z niego... (kto by to powiedział?) antyfeminizm. Mężczyzna ten bowiem zakochał się we własnym (wewnętrznym) wyobrażeniu o Adeli, w dziewczęcej wersji pani Cudny (*nomen omen*): w jej błękitnej „obcisłej bluzce”, spod której było widać „sam rąbek koronki stanika”, w jej „zielonych bucikach z kokardkami”... Pokochał swoje porównanie – jej podobieństwo – do „baletniczki”. Już podczas pierwszego spotkania dopadły go fanta-

zje na temat tego, co się zdarzy, kiedy już dostanie tę pracę... Kiedy na przykład pokochają się na JEJ biurku... Bolał go fakt, że nie on w tym związku rządzi, że to ONA kupuje MU bieliznę erotyczną, że ONA zarabia więcej niż ON, że jej lolitikowatość to jeszcze jedno narzędzie manipulacji innymi, a on może jedynie tęsknić za wizerunkiem groźnego samca. Mówił, że jako „jedynie” oddany asystent czuje



się jak członek niższej kasty. Oczywiście, prócz tego (jako „prawdziwy mężczyzna”) nieustannie odczuwa do Adeli gwałtowne pożądanie i dzięki temu też zostaje zatrudniony, skoro w owej magicznej chwili „gotów był całować jej stopy, człogać się” i nawet zemdłał *ante factum*. Oczywiście oszalałemu z żądz na widok rudych loczków szefowej nic nie dało do myślenia: że od początku to ona nim steruje, że ona zainicjowała ich pierwszy flirt słowny oraz późniejsze zbliżenie, nie zauważył też, jak to się *nagle* stało, że pod jej wpływem zmienił się całkowicie tryb jego życia. W końcu jednak romantyczny kochanek zerwał z uzależnieniem od Adeli oraz z wynikłym z depresji pozerwaniowej nałogiem alkoholowym i znalazł bezgranicznie sobie oddaną, pokorną, rozmarzoną, uległą, spragnioną oparcia na męskim ramieniu i fury dzieci, pszennowłosą gospodynię domową. Koniec.

To wszystko byłoby nawet mile strawne, gdyby nie świętoszkowata (oczywiście mimo wcześniej wspomnianych napadów dzikiego pożądania – ale tylko do Adeli!) praworządność głównego bohatera – on nie wie, co to znaczy bajerować czy znikać po angielsku, nawet bywa oburzony swobodnym pod tym względem postępowaniem swych najlepszych kolegów, którzy częstokroć „tylko zaliczają laski”. On za to kupuje dla swojej luksusowej pani prezes cha-

łupę w niemal-nieistniejącej wsi Chmarki na Kaszubach (i już po tym widać, jak bardzo poznał „swą” ukochaną kobietę), potem zaś, najnudniej w świecie, wykupuje wycieczkę do Wenecji i tam (wbrew zdeklarowanym głośno chęciom Adeli) oświadcza się jej. Idź piec chleb ze swoją opiekuńczą kobietą, miękiszu jeden!... No i to obsesyjne bredzenie o zapachu arbuza... Żałosny gość, który zakończył ewidentnie toksyczny dla niego związek nie dlatego, że ukochana kobieta notorycznie poniżała go w pracy, że kilkakrotnie ośmieszyła przed sąsiadami, nie dlatego, iż wymuszała na nim kształt i czas spotkań, ale że przed przyjaciółkami skrytykowała WIELKOŚĆ jego „WACKA”. Jednym słowem, nie poszło o idee, upodobania czy niezgodności charakterów, a o 3 centymetry wyrostka cielesnego... Ale potem „nosił po niej żałobę”, tkwiąc w „najbardziej bolesnej śpiączce świata” i chciał „aby mu wbiła nóż w serce, tak jak wbiła w duszę”, gdyż „bez niej jego mieszkanie pachnie dymem od fajki i pokarmem dla rybek”.

Kornelia, bohaterka trzeciej z wymienionych wyżej książek, pod tytułem „Cztery pory lata”, pozuje na wyzwoloną, acz uczuciową i niewiarygodnie kobietą, ale jednak feministkę. Dokładnie tak! – niestety nic z tego jej się nie udaje, gdyż w rozmaitych sytuacjach, a zwłaszcza podczas tzw. dam-



sko-męskich, spontanicznie wypływa z niej wpojona przez rodziców (a także, jak twierdzą niektórzy psychologowie, zapewne wrodzona) – dulszczyzna. Kornelia bowiem niestety jest: władcza, przemądrzała, uparta i zakłamana. Należy jednak przyznać, iż poza tym (oczywiście i wbrew pozorom) nie jest potworem: JAK KAŻDA (ma się rozumieć! – no, dokładnie jak wszystkie czytelniczki!) lubi plotki, fatalaszki, swoje przyjaciółki, własny pokój z leżaczkiem i silne męskie ramiona! Do tego jest dumna ze swego wewnętrznego uniezależnienia od wszystkich i wszystkiego: wszak mieszka u rodziców z własnej, nieprzymuszonej woli – w ukochanym, „zabytkowym” domu z bajecznym ogrodem i wręcz niebiańskim widokiem z balkonu osobistego apartamentu na drugim piętrze owej willi. Rodzice ją (pozytywnie) ciemiężą, czyli nieustannie się o nią troszczą (a zwłaszcza o jej życie uczuciowe), pchani naturalnym oddaniem. Szujowaty były-niedoszły narzeczony, Piotr, na końcu okazuje się w rzeczy samej bohaterem bardzo pozytywnym. Wrogowie stają się w procesie dobrowolnej i samodzielnej resocjalizacji nieszkodliwi. Kibić Kornelii z dnia na dzień, a zwłaszcza na końcu, wydaje się coraz smuklejsza. Żmijowata bratowa wreszcie wyjeżdża, pozostawiając po sobie miłe wrażenie w postaci samochodu, a były adorator (dla przypomnienia – nie Piotr) okazuje się jedynie częściowym psychopatą. Rok dla Kornelii ma cztery pory lata, a słońce nigdy nie zachodzi. Trochę mdło od tej słodczy, od miłosnych

marzeń i przeplatanek cielesnych wieńczonych, ma się rozumieć, spektakularnymi spełnieniami. I wcale nie chodzi o to, że owa historia „nie może być prawdziwa”, czy że główna bohaterka jest po prostu głupia (aczkolwiek śliczna i z dobrym serduszkim), ale że takie nagromadzenie w jednym tekście troskliwych rodziców, wszechrozumiejących przyjaciółek, grzecznych dzieci, uległych mężczyzn i szczęśliwych psów – z każdą stroną coraz bardziej potęguje ból głowy.

Mimo tych wszystkich kąśliwych uwag, propozycje „Repliki”, i w ogóle zwyczajne czytać, klasyki gatunku, jak już było powiedziane na początku, to rzeczywiście fajna rzecz – jak nocna sesja jedzeniowa z kubelkiem lodów, może i niepotrzebna, w końcu wręcz szkodliwa – ale duchowo krzepiąca. Czytać zapewniają rozrywkę, proste wzruszenie, a dla *głębokich czytelników* pozostawiają po sobie nawet kilka kwestii do rozważenia: na przykład, jak bardzo (ciągle jeszcze) współczesne kobiety mimo całej swej krzykliwie wręcz manifestowanej emancypacji czują się zobligowane do przekształcenia całokształtu swego życia przez wzgląd na nowo pojawiających się u ich boków mężczyzn. Albo jak silna jest współczesna tendencja utraty wewnętrznej tożsamości przez mężczyzn i płynąca z tego zamiana ról społecznych z kobietami, swoiste „złamanie świętości stereotypów”, co rodzi różnorakie kłopoty natury psychologicznej – nie tylko (zdawałoby się) u samych mężczyzn, ale i u kobiet. Podczas lektury czytać być może trochę

nazbyt oczywiście i ostentacyjnie za to pojawiają się kolejne morały płynące z kart owych historii: że autentyczna fascynacja płynie z wnętrza, że ciało nie może być priorytetem, że miłość ci wszystko... Ale nic to: dla owej niemal medytacyjnej chwili odpływu warto na chwilę stłamsić realizm w tylnej kieszeni spodni. Tak więc kubełek lodów do ręki i...

Liliana Fabisińska,
Arbuzowy sezon,
Wyd. Replika,
Zakrzewo 2007;

Anna Fryczkowska,
Straszne historie o otyłości i pożądaniu,
Wyd. Replika,
Zakrzewo 2007;

Renata Górka:
Cztery pory lata,
Wyd. Replika,
Zakrzewo 2007.

Marta Skłodowska

Tandetna jesień

Kolejna wydana w polsce książka Jodi Picoult ponownie porusza, jak twierdzi zresztą sama jej autorka, trudny temat. Jasnego rozwikłania i konkretnych odpowiedzi na zadane w związku z nim pytania i tak nie możemy oczekiwać. Tym razem myślą przewodnią jest religia, wiara w objawienia i powiązania między różnymi wyznaniem. Ale do rzeczy! O czym dokładnie mówi powieść „Jesień cudów“?

Siedmioletnia Faith White, po tym jak rozwodzą się jej rodzice, zaczyna mieć „objawienia“, a dokładnie rzecz ujmując, coś na kształt wyimaginowanej przyjaciółki, która nazywa siebie „bogiem“. Dziewczynka prócz snucia opowieści o swej nowej towarzyszyce, czyni cuda, takie jak dla przykładu wskrzeszenie swojej babci zmarłej na serce. Jakby tego było mało pewnego dnia pojawiają się na jej dłoniach stygmaty, rany które wskazują na ponadnaturalny ich charakter.

Wokół zaistniałej sytuacji pojawiają się gapie, sekty, ludzie czekający na uzdrowienie, a także wysłannicy religijnego świata różnych wyznań, których zadaniem jest sprawdzenie wiarygodności opowiadań dziewczynki. W tym wszystkim pojawia się także naczelny ateista Stanów Zjednoczonych – Ian Fletcher. Jest to postać niezwykle barwna, prowadzi on pro-

gram telewizyjny, w którym obala wszelkie pojawiające się sygnały o cudach, objawieniach itp. Autorka kieruje do czytelnika sugestią jakoby i pan Fletcher potrafił czynić cuda, co, zdawać by się mogło, ma dodawać smaczkowi.

Ważną bohaterką powieści jest także matka Faith, Mariah. Podejmuje ona, w zaistniałej sytuacji, walkę o bycie dobrą matką mimo przeciwności losu, oraz zapewnienie córce spokoju i przyjaznych warunków rozwoju. Wątek już nieco oklepany, ale niechże już pozostanie myśl, iż autorka bierze się za trudne tematy.

W drugiej części książki na pierwszy plan wychodzi sprawa opieki nad Faith, bowiem ojciec zaczyna się ubiegać o prawo do niej. Jak rozwikła się ta sprawa, proszę sprawdzić samemu, jednak, jak można się spodziewać po książkach Picoult, zakończenie nie będzie ani odkrywcze, ani nieoczekiwane.

Po raz kolejny autorka powieści mnie zawiódła. Gdy po przeczytaniu „Dziesiątego kręgu“, jej poprzedniej opowieści, czułam niesmak, miałam nadzieję, że Picoult się zrehabilituje, biorąc pod uwagę fakt, że tematyka cudotwórstwa i objawień dziecięcych nie jest w powieściach często spotykana. I być może książka by się obroniła, gdyby nie związek Mariah i Iana, który tak bardzo przypomina powiastki z serii Harlequin. Wątki tego typu są nieodłączną częścią powieści tej kategorii, a potwierdzanie powiedzenia „Przeciwnieństwa się przyciągają“ jest nieco już

„zużyte“. Jednak Picoult, jak już w poprzedniej książce się okazało, niczego się nie boi, a już banałów w szczególności!

Kolejnym tandentny zabiegiem jest podzielenie książki na dwie części zatytuowane: Stary i Nowy Testament. Takie działanie w przypadku poruszania tematyki religijnej wydaje się być adekwatne do podmiotu, jednak stuprocentowo przewidywalne, a wydaje mi się, że dziś aby zadowolić prawdziwie wymagającego i wartościowego czytelnika potrzeba czegoś więcej, czegoś oryginalnego.

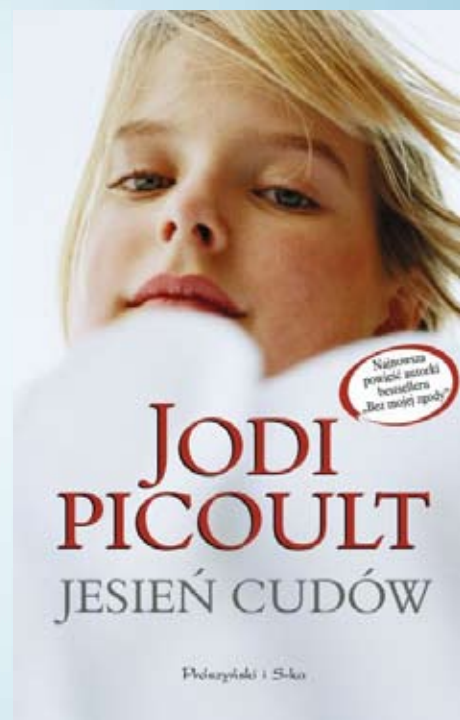
Kolejnym potwierdzeniem szablonowości i przewidywalności pomysłów Jodi Picoult jest nazywanie swej małej bohaterki Faith, co w języku angielskim oznacza „wiarę“. W moim mniemaniu to już delikatna przesada, zdawać się może, że autorka podejrzewa, iż czytelnik jej powieści nie zrozumie o czym ona opowiada!

Jedynym pozytywem jaki odnajduję w „Jesieni cudów“, poza jej tematem, jest poruszenie zagadnienia przenikalności wyznania, rozważania na temat integralnych części i konieczności współistnienia w dobrych stosunkach różnych wiar, w tym wypadku głównie katolicyzmu i judaizmu.

Jodi Picoult po raz kolejny zawodzi, jej książki nie można postawić obok tych, które pamięta się dłużej niż dwa tygodnie, a powracanie do niej nie ma sensu. „Jesień cudów“ to jeszcze jedna powieść do poczekalni u dentysty, czy dłużej się podróży

pociągiem, która nie da nam niczego poza odrobiną lekkiej rozrywki.

Jodi Picoult,
Jesień cudów,
tłum. Alina Siewior-Kuś,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2007.



Chłód wspomnień

Wydawać by się mogło, że biografie i opowieści rodzinne wyczerpały zdolności kreacyjne współczesnych pisarzy. Tymczasem „Zimno” Piotra Czekańskiego (rocznik sześćdziesiąty) to biograficzna próba ujęcia historii nie tylko najbliższej. Segmentacja tekstu na poszczególne krótkie rozdziały porządkuje narrację. Jednakże terażniejszość i tak miesza się z przeszłością, a czas przeszły warunkuje doświadczenia obecne.

Zmyślenie, prowokacja, odtwarzanie historii niesystematycznie – te określenia pasują do książki. Bo cóż to znaczy: „Urodziłem się w grobie”. To takie staroromantyczne, trochę litewskie (Litwor), a trochę prometejskie. Inaczej: „Ich czas biegł inaczej od mojego. Byli wolni. Nie musieli żyć wspomnieniami, jak ja, by móc pozbywać się zapasów zabawek, nie na śmietniku, bez melodramatycznych spazmów, bez flegmy dewianta na rękawie marynarki skrojonej na miarę, bez bagażnika samochodu wypełnionego kluczykami, lalkami, pajacami” (s. 19). Okruchy dzieciństwa to świat zatopiony w otchłani sklejonych zdjęć. Nigdy nie opowie się historii prawdziwej do końca. Są to wyobrażenia o detalach przeszłego życia. Autor dopisuje losy, kroi „garnitury na miarę

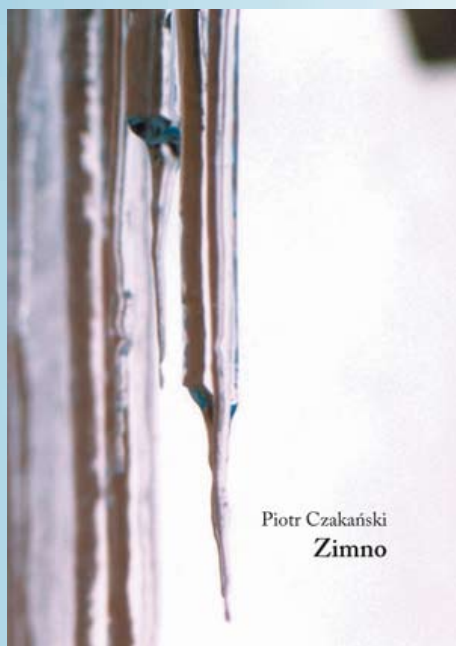
swoich kompleksów” (s. 23). Jest więc Lena-córka Abrahama, Goldmanowa Józia „o pajęczych nóżkach”, chory Piotruś, złośliwa Hania, wczesnokomunistyczny Warzuś, Marysia z części zdjęcia odtworzona, Józiu „od zarania chudziniek”, Lena z „włosami obciętymi na „Sagankę” i rozpalonych oczach, które studzi delikatny uśmiech. Jest także proboszcz Józef zamordowany w zakrystii, są i rodzice. Matka małomówna, oddana rodzinie i schorowana. Ojciec – wysoki mężczyzna o rysach intelektualisty w okularach, racjonalizator, fotograf i właściciel największego w powiecie tartaku” (s. 49). Pojawia się Stanisław – przysposobiony ojciec i Renate. Po ojczymie zostały książki i słowniki języków, których się uczył, a Renate „zabrała ze sobą do grobu tajemnicę krojonego makaronu i nadzieja do kaczki” (s. 55). Trochę jak w „Opowieściach galicyjskich” Andrzeja Stasiuka. Świat stworzony z ułamków.

Postaci pojawiają się i znikają. Czytając tę książkę czułam się trochę, jak w starym kinie. Taśma miejscami przetarta, obraz urwany, wątki poplątane. Banalne historie z tragicznymi rozwiązaniami.

Kluczem interpretacyjnym może być choroba bohatera. Białaczka porządkująca wspomnienia...? Ale i tym razem nie jest to oczywiste. Lekarz stawiający diagnozę umiera. Był homoseksualistą. Nie czuł się szczęśliwy.

Nic więc w tych opowieściach nie jest proste.
Każda z nich może stanowić odrębną część różańca.
Są jak modlitwy wznoszone niezależnie od siebie.
Bez nadziei, bez uśmiechu, bez większej wiary. Tytuł
odpowiedni. Zimno.

Piotr Czekański,
Zimno,
Wyd. FA-art.,
Katowice 2006.



PROZA
ПРОЗА

Zapowieszony

Poddałem się przed urodzeniem, inaczej to niemożliwe, lecz narodziny musiały być, to był on, ja byłem wewnątrz, tak mi się widzi, to on krzyknął, on ujrzał dzień, ja nie krzyknąłem, ja nie ujrzałem dnia, niemożliwe, żebym ujrzał dzień, (...) to on żył, ja nie żyłem, żył źle, przeze mnie, zabije się, przeze mnie, wypowiem to, wypowiem jego śmierć.

Samuel Beckett, „Niewypały”

Tak, ja panu to wszystko przełożę, dokonam translacji z tego języka rozmigotanego Jego rękami, tak, wszystko panu przekażę, każde słowo złapię i panu podrzucę, to jest Jego wybór, On chciał, żeby pan najpierw wszystkiego się dowiedział, nasycił (ale nie przesycił, powiedział) się Jego historią, zrozumiał i zaraz potem zrobił to, co Go wreszcie wprowadzi w ten stan upragniony. Ja wiem, że On mógłby to wszystko napisać-spisać-opisać, zamknąć w iluś tam literkach, ale powiedział, już nic nie napiszę niech mi spokój da pozwoli mówić wymówić pokazać raczej, więc musi pan Go wysłuchać.

Wie pan, co On teraz rękoma rzeźbi w powietrzu, jakie kształty lepi z czasoprzestrzeni? Nie wie pan, no oczywiście, to ja to panu powiem, ale nie umiem, nie potrafię, pojęcia nie mam za bardzo, jak to wszystko przerobić na słowa normalne, na słowa, które są cząsteczkami drżącymi, które są powietrza falowaniem, a nie palców-dłoni wygięciem określo-

nym; On, wie pan, czasem tworzy nowe słowa, łamie kręgosłupy związków frazeologicznych, czasem palec pod kątem wygnie takim lub innym, rękę ułoży nad lub pod, i już zaraz gra metalingwistyczna, już żonglerka słowna, której się nie da przełożyć na język języka. On mówi, że powieść napisana (napisana?, sam siebie pytaniem przytłacza) w taki sposób byłaby najpełniejszą formą sztuki, bo, proszę sobie wyobrazić, to byłaby powieść wizualna, powieść jak obraz ruchomy, jak rzeźba ożywiona, niby słowa, ale jednak taniec rąk, ale balet palców wyrafinowany, On nawet ma zamiar coś takiego stworzyć, wykreować, do życia ruchomego powołać i mówi, że tak, że zrobi, nie napisze, a pokaże, ale teraz nie o tym, ale teraz nie czas.

Mówi, że. Mówi o. Po prostu mówi wysłuchaj mnie człowieku ukradnij moje słowa podprowadź moje myśli wypruj moje żyły i ułóż je na stole jedną obok drugiej i krajaj je tak jakbyś krajał makaron przetnij mi pierś odegnij żebra i patrz jak bije moje serce wyłuskaj mi oczy z tych jaskiń anatomicznych i zobacz kałuże łez na ich skalnym dnie ale wysłuchaj mnie wysłuchaj mnie człowieku, mówi.

Mówi, że Jego życie było pasmem udowodnień, ciągle musiał sobie udowadniać, ciągle musiał ze sobą uzgadniać, że jednak robi tak, jak w tej sytuacji można najlepiej, że wcale niczego nie przegrywa, tak, bo Jemu się zawsze wydawało, że w momencie urodzenia wygrał porażkę, że wyszedł z brzucha na świat po to, by przegrywać, przerywać kontinuum przyszlých sukcesów i wygranych, innym wyrwanym, które Jego ojciec w rytmie jednostajnym, nudnym i pozbawionym synkop namiętności próbował zasiać w Jego matce; tam zresztą, On mówi, że nawet nie musiał na ten świat wychodzić, nie musiał przeciskać się przez ciasne korytarze, nie musiały Go skurcze mięśniowe ku światłu świata wypychać, On już tam, w pierzynach organicznych, zasmakował tej cierpkości, która Mu się na język pokładała przez resztę życia i d o k o ń c a ś m i e r c i .

On mówi, że przegrany był już wtedy, kiedy Go własna matka z siebie wygoniła przedwcześnie, zupełnie przedterminowo i niespodziewanie, kiedy Go z siebie wypchnęła, pozbyła się Go, jakby był tkanką jakąś niepotrzebnie przysposobioną, brzuch, brzuch wcześniej piękny, brzuch wcześniej gładki, rozpychającą. Mówi, że najśmieszniejsze było to (wie pan, wtedy wcale Mu nie było do śmiechu), że jeszcze u niej, jeszcze w tym mikrokosmosie hermetyzowanym, jeszcze w tym próżniowym odessaniu

niebezpieczeństw, próbował z tego powodu, dla tego powodu, przez ten powód pierwszy raz s p e ł n i ć samobójstwo. On unika słowa *popelnić*; *popelnić* można błąd, *popelnić* można powieść grafoholiczną; On mówi, że *spełnić* się mieści w mistycznych gnozeologiach (tak, ja też nie, ale przy Nim to się zdarza, nie, nie zdarza się, to j e s t prawie zawsze), *spełnić* się z miłością klei do języka i ekstatyczne enzymy wlewa do kubków smakowych.

Tak, mówi, już wtedy próbował s p e ł n i ć swoje samobójstwo, więc owinał sobie tę pętlę powinią wokół szyi, wokół szyjki wątlej, szyjki butelkowo wąskiej i gumowo giętkiej, mówi, że musiał być naprawdę zdeterminowany, musiał być pewien, że zmierza do miejsca, w którym będzie musiał ten czyn powtarzać w nieskończoność, będzie musiał tworzyć koła błędnych prób, będzie musiał żyć w oczekiwaniu na następny raz, będą Mu się ręce trzęsły przez całe życie zrytmizowane tym szaleńczym *od-do*, więc chciał sprawę zakończyć już na wstępie, chciał się wstępnie pozbawić życia, ale Mu się nie udało. Tak, to była Jego pierwsza klęska, introdukcyjna porażka, alokucja do krachów następnych, prolog do plajt kolejnych, preludium do bankructw późniejszych, mówi, że to lekarz, że to on wszystko zepsuł, zniszczył i niepotrzebnie Mu poplątał (rozplątał właściwie, dodaje), pielęgniarce by nawet nie, wie pan, jakie one są, ale lekarz młodzik, lekarz żółtodziób, lekarz naturszczyk jakiś nadgorliwy, który się jesz-

cze szelestem, jeszcze wykrochmalonym trzaskaniem fartucha upajał, uświadomił Mu, jak będzie wyglądać Jego życie, dokonał kilkusekundowej prezentacji, zaszerwował Mu bolesny odcinek pilotażowy, z którego się dowiedział *co, jak i dlaczego*.

Kiedy Go lekarz wyswobadzał z tej pętli, kiedy Go lekarz o d p ę t l a ł, rozumiał (epistemologia raczej zaprzecza, mówi, takiemu poznaniu niemowlęcemu, ja też w to z trudem wierzę, ale tak właśnie się stało), że tak już będzie zawsze, że się porażka stanie wykładnią Jego życia, tak, mówi, już wtedy, już wtedy wiedział i sobie postanowił, że nie, że sobie nie pozwoli na to, by ten prolog fatalny nadał kształt, kształt już ostateczny, kształt już spełniony i dopełniony, Jego życiu całemu, i powiedział sobie, powiedział tak całkiem do siebie, jeszcze tym językiem nieartykułowanym, jeszcze tą mową brzusznią, że jeśli porażka, jeśli przegrana, która się pojawiła już teraz, na etapie życia jeszcze popołogowego, to On woli, mówi, nie żyć, woli umrzeć, woli tu i teraz, a jeśli się znajdą nadgorliwcy lekarzowi podobni, z lekarza zapalem i chęcią, to On i tak sobie poradzi, weźmie się ze śmiercią pod rękę, zaręczy się z nią jak najprędzej i będzie próbował, za każdym razem, gdy Mu się porażka za kołnierz wśliźnie i skórę zedrze, będzie próbował związać się ze śmiercią wiecznym węzłem małżeńskim.

Powtarzał sobie, powtarzał sobie wiele razy a jednak niedługo będę wreszcie całkiem martwy, mówi.

Mówi, że Jego brat przyszedł na świat, tak, nie wiem no, może, zaraz, jak miał pięć, sześć lat, wie pan, był jeszcze w wieku szyb lotem piłki nieskoordynowanym wybijanych, kolan ze skóry obdzieranych, spodni napośladkowo rozrywanych i tego, że jeszcze *nic, nigdzie*, bo i *po co*; chociaż On tego właściwie nie robił, określa-nakreśla tak tylko stereotypowo, żeby pan mógł zrozumieć, skojarzyć, przyporządkować Go sobie do tego obrazu dziecięcego.

On mówi, że Jego brat tak naprawdę na świat nie przyszedł; Jego brat na świat zstąpił, spłynął, przyleciał, przyszybował, wyłonił się, ukazał, przybył z jakichś niebiańskich arealów; Jego brat swoją obecnością świat z a s z c z y c i ł .

Kiedy Go matka rodziła tak przedwcześnie, tak przedterminowo, tak niespodziewankowo, to krzyczała; krzyczała purpurą, która jej na twarz biskupio zstąpiła, krzyczała skurczami, które jej zęby zaciskały mocno tak, że się liczne z nich skutecznie odłupały-obłupały, wyszczerbiły, w trwały uszczerbek na zdrowiu bezpowrotnie się zaopatrzyły, krzyczała potem, który jej firanką słoną czoło otulał, krzyczała oczyma, w bólu i z bólu wytrzeszczonymi, krzyczała Jego tętnem słabnącym, krzyczała Jego pętlą szubieniczną, krzyczała paznokciami wbitymi w dłoni poduszeczki puchem krwi rozepchane, krzyczała językiem zagryzionym jako zagryzka najprzedniejsza

w tej uczcie bolesnej, krzyczała żyłą na skroni rozpusowaną, krzyczała głową bolącą, krzyczała nogami w igrek uformowanymi, krzyczała rozrywaniem, rozszerzaniem i poszerzaniem gwałtownym, które jej się pomiędzy te nogi wkradało, krzyczała przekleństwami, których Jego ojciec nie mógł znaleźć w żadnym słowniku; ona krzyczała na Niego, przez Niego, wobec Niego, przeciw Niemu, na wskroś Niego.

On mówi, że kiedy rodził się Jego brat (tak, On ma wrażenie, że Jego brat na tyle był idealny, na tyle był wspaniały, na tyle był już dookreślony w tym swoim niemowlęctwie najwcześniejszym z możliwych, że mógł się sam urodzić, jemu nie potrzebna była żadna pomoc, on się potrafił obyć bez żadnego wspomaganie pozaustrojowego, tak, On ma nawet wrażenie, że Jego brat sam się począł, sam sobie *stań się!* zaaplikował, by ojcu trudu oszczędzić), to matka szeptała; szeptała czołem gładkim, czołem nieporadnym, czołem dumnym, czołem w spiżu wykutym, szeptała tym uśmiechem *zaraz po*, kiedy go na rękach trzymała, szeptała twarzą przecieraną wilgotną ściereczką, szeptała tym jego wyśliźnięciem bezbolesnym, które się dokonało jakby poza nią, jakby ona była tylko przekaźnikiem, tylko medium jeszcze przed chwilą w transie błogosławionym, a teraz, teraz *już*, szeptała dłonią ojca, która jej na ramieniu spoczywała, zaciskaniem w rytm skurczów lekkich, leciutkich uspakajając, szeptała myślą łagodną i lotną, szeptała piersiami pełnomlecznymi, już w stronę, już w sferę,

już w strefę ust spragnionych kierowanymi, szeptała niekrzyczeniem, szeptała nieniepokojem, szeptała niebólem, szeptała niegrymasem, szeptała niespokojem, szeptała nieNim; szeptała dla niego, szeptała w jego stronę, szeptała przed nim, szeptała ku niemu, szeptała na jego cześć.

Mówi, że niewiele pamięta z tego, co działo się (ma wrażenie, że wobec wszystkiego, co się wiąże z Jego bratem powinno używać się słów bardziej odpowiednich, słów głębszych, w których by można pomieścić długie łańcuchy sensów jegobratowych, więc może nie działo, a s t a w a ł o s i ę) w domu, mówi, że ludzi strumienie, wyrzygiwane przez zachwyty nad nowym rodziny poszerzycielem, nad krwi, genów, myśli, historii, anegdot i o tym, że pamiętasz jak to babcia dziadek ciocia wujek byli wtedy i że ledwo im się nie bo gdyby nie to co by się, przekazywaczem, poza tym to jeszcze atitititalutkiatitititi jakoś tak nienaturalnie zdrabniane (On o tym wcale nie mówi zdrobniale, ja panu wszystkiego nie przekazuję, bo to takie rzeczy, że mnie by się nigdy nawet nie, bo gdzieżby to, bo jak by to), jakoś tak w wysokie rejestry zupełnie niespodziewane wpadające, nawet wujowie nie chcieli swoim sznapsbarytonem kwileń ciotkowych skutecznie skontrapunktować, nawet oni, nawet oni pod wąsem efektywnie podkręconym, nawet oni ustami, przez które się przedzierały grube cielska przekleństw, którymi wujowie, okazjonalnie lub regularnie, nazywali ciotki wściekły-

misukami-dziwkami-kurwami-cipami-głupimi-pizdami-złośliwymi, nawet oni tymi ustami, tymi wargami wódczanymi pozwalali się sobie zdrobnić, pozwalali sobie zmaleć do rozmiarów zachwyty, dokonywali skutecznej regresji swoich strun głosowych w czas nastoletwa przedmutacyjnego i mówili no powiedź powiedź kulwa powiedź powiedź kulwa u nas wszyscy się wcześniej kulwować uczyli, ale ich zaraz ciotki, ciotki w krainie reminiscencji powracających zbłąkane-obłąkane, ciotki w ostatnim stadium całkowitego przeanielenia, z językiem pluskającym się wśród śliny rozkoszy przymlaskiwały do porządku i zaraz no jak ty do dziecka mówisz czego ty dziecka uczysz, i tylko od niechcenia a cicho już być rzucone pozwalało im znowu przyszyć, przycerować się do tej twarzy, spoglądającej na nie spomiędzy białych palików, które ojciec postanowił odnowić, odmalować ponownie i odświeżyć, bo przecież widzisz kochanie jak On je pogryzł strasznie.

On mówi, że zawsze podług jakiejś matematyki mefistofelskiej był do swojego brata odwrotnie proporcjonalny, zawsze łączył Go z bratem stosunek przygnębiających implikacji, tak, jeśli brat był młodszy, to On musiał w tym ich związku przymusowym pełnić rolę odpowiedzialnej starszyny, jeśli brat płakał, to na pewno On był winny sąd idzie prosię wstać i stać musiał za karę w kącie, na liczydło ich domowego dekalogu litanijnie s u m m o w a ć grzechów zrzuty na sumienie, jeśli brat okno wybił wazon stłukł

obrus poplamiał ścianę pomazał, to tylko dlatego, że Jemu z tym związana myśl-idea-zaczyn-impuls mogła w ogóle przez głowę przejść, przebiec, stopami stemplując ziemię grząską i szarą, jeśli brat pracy domowej, szlaczków literek cyferek z dziecięcym drzeniem ręki niewprawionej zapomniał, to tylko dlatego, że On miejsce przy biurku zbyt długo przysiedział, jeśli brat na rowerze jazdy zrównoważyć nie potrafił, to tylko dlatego, że On patrzył, spoglądał, ze złośliwą satysfakcją wędkę oka zarzucał na rower i go w niej pętał na tyle skutecznie, że się braciszkowe kolanka z betonem chodnika spotkać musiały.

On mówi, że przyszedł taki moment okropny, zjawiała się taka chwila dla Niego duszna, spocona i u k r o p n a , kiedy się bratu wszystko zaczęło udawać; nie, udawać nie, udawać się z udawaniem ścisła nierozwiązywalnie, więc udawać nie, bo z grą, bo z hochsztaplerskim zaklinaniem rzeczywistości niewiele to miało wspólnego, przyszedł taki moment, kiedy się dla Jego brata wszystko zaczęło s t a w a ć , już mu niepotrzebne były usprawiedliwienia podrzucane pośpiesznie, kiedy się tylko coś *nie*, kiedy się tylko coś *nie tak*, już mu zbędne było główki włosków gładzenie ręką matczyną, kiedy się na jej kolanach w płód formując ślimaczył, kiedy z nosa przezroczyść wcierał w jej bluzkę, tak, przyszedł taki moment, zjawiała się taka chwila, kiedy dla Jego brata wszystko s i ę s t a ł o .

On mówi, że stało się wiele, stało się tyle, by mógł sobie uświadomić, by sobie Jego świadomość mogła dokładnie odnotować, czego nie miał, nie ma i czego na wieki ścieków amen mieć nie będzie.

Stała się nad Nim wyższość wzrostowa, stało się włosów naturalne skręcenie, gdy Jego tłustością lustrzaną czaszkę oblepiały, stało się oczu głębokie zblękitnienie przy Jego zezowanej-kurzanej szarości, stało się zuchwy szerokołukowe wysklepienie na przekór Jego cofnięciu podbródkowemu, stało się rzymskie nosa wykrojenie wobec Jego kartoflanego *sspiętrzenia*, stało się masą mięśniową obfite oblepianie w opozycji do Jego ptasiej wklęsłości.

Tak, stało się to wszystko nagle, tak z nagłą spadło na Niego, tak niespodziewanie, że Mu się aż niemożliwym wydawało, aż jakimś tam, wie pan, chwilowym majakiem wzrokowym, przelotną *f a t a l m o r g o n ą* oczną, mirażem, wirażem na móżdgu, z którego się zaraz synapsy skutecznie wyswobodzą i znów się ruchem jednostajnym prostoliniowym, prostoliniowym zupełnie i nieskomplikowanym ograniczą. Mówi, że kiedy się Go ktoś o brata pytał, rysopis Mu jego przedstawiał, rysował Mu brata na kartce wyobraźni, to odpowiadał, że nie, że to nie Jego, no gdzieżby to proszę na mnie spojrzeć ja bym takiego brata miał mieć no weź ty się *dziewczyno* zastanów.

Tak, właśnie, *dziewczyno*, *dziewczyno* mówił rzadko, *dziewczyno* mówił okazjonalnie, *dziewczyno*

jak święto traktował, *dziewczyno* było z litanii nabożnej wymkiem, *dziewczyno* było homilią, *dziewczyno* było w pierś uderzaniem w czasie podniesienia, *dziewczyno* było myślą, uczynkiem i z *a d b a n i e m*, *dziewczyno* było wierzę w i ojciec nasz, *dziewczyno* było ty zawsze przy mnie stój, *dziewczyno* było rano wieczór we dnie w nocy, *dziewczyno* na ustach Jego wyobraźni było cały czas. Tak, powtarzał, wymawiał, wargami poruszając jak w gorączce i, mówi, faktycznie był w gorączce, miał gorączkę, gorączką się cały rozpałał, od gorączki miał twardniejąca podbrzuszną gorączkość, kiedy tylko się okazja nadarzyła ku temu, żeby *dziewczyno* wypowiedzieć, żeby *dziewczyno* zobaczyć i tam, w najdalszym fantazmatycznym *tam*, z *dziewczyno* zdzierać, zsuwać, uchylać, zaglądać, podglądać, zanurzać, wdychać, dłońmi zapach pod nos przywołując, dłońmi, palcami nawet temperaturę delikatnie sprawdzać, badać zakamarki, odkrywać i napięcie z *dziewczyno* odrywać.

Mówi, że Jego brat robił to samo, tylko u niego ta robota była rzeczywista, mówi, brat miał okazję, do brata okazje przychodziły tłumnie, brat mógł wcale nie okazjonalnie z okazji szerokiej palety korzystać. Tak, Jego brat *dziewczyno* nie mówił, Jego brat *dziewczyno* robił, do niego *dziewczyno* samo przychodziło, *dziewczyno* pytało, dzwoniło, pisało, *dziewczyno* chciało chodzić w jego kurtce skórzanej bułgarskiej no daj daj przymierzyć, *dziewczyno* z nim chciało w piątki zaręczne trzymania uskutecznić w godzinach

najludniejszych, by się z nim dać przyłapać, by tą dłonią w dłoni innym *dziewczyno* na nosie zazdrości zagrać, *dziewczyno* go zapraszało na imieniny matki, więc się mógł dojrzałości skutecznie przypodobać, mógł zadziałać na tym rewirze jeszcze dla niego zaklętym i zaraz szło z ust do ust, zaraz biegło z serc do serc za nim do sklepików osiedlowych do kwiaciarek przygodnych sprzedawczyń łagodnych mleczarek zarannych, że wie pani jaki to miły młodzieniec on z moją starszą a jakie kwiaty bukiet mi to by pani nigdy nawet nie, tak tak, *dziewczyno* katalizowało Jego brata sukcesów pasma, *dziewczyno* mu pozwalało szlaki przecierać, przedzierać się przez chaszcze dla Niego zbyt gęste.

Mówi, że Jego ojciec wreszcie się poczuł spełniony, wreszcie był pewien, że ze swojego genetycznego materiału uszył strój doskonały, strój o kroju wspaniałym, strój wygodny, strój wyszczuplający, strój, w który się ojciec ubierał za każdym razem, gdy mu się zdarzyło w siebie zważyć. Mój syn, mawiał ojciec, wskazując na Jego brata, mój syn, dzięki mnie, przeze mnie, nie, pamiętaj synu, nie przez matkę, matka to, matka to zresztą sam wiesz, mawiał ojciec, kiedy mu Jego matka po kłótni kazała spać na maleńkiej kanapce, która się w Jego pokoju czaiła, czekała na ojca, czekała na krzyków wymianę, czekała na argumentów ogniowe skrzyżowanie, czekała na reakcje płaczące, czekała na dni, a i czasem tygodnie ściszone przez nieodzywanie permanentne.

Tak, mówi, że wtedy najgorszym, co Mu się mogło przytrafić była cisza, cisza Go przytłaczała, cisza Go otaczała, przygniatała, cisza zmuszała Go do tego, by siebie podsłuchał, cisza Go zmuszała do walk bitw wojen myślowych; cisza Go z a b i j a ł a .

Mówi, że cisza Go zabijała jak najbardziej dosłownie, to cisza w ogóle sprawiła, sprawiła Mu taki prezent przypadkowy, taki zupełnie niespodziany i niespodziewany, że mógł po raz drugi *spełnić* swoje samobójstwo. Nie był w stanie tego znieść, nosić tego nie mógł, tego powietrza, które w głowie szumiało, tych szurnięć, chrobotnięć, szmerów najdelikatniejszych, w stanie przedkłótniowym i pokłótniowym z rzeczywistości wyciszonych, a teraz boleśnie obecnych; wcześniej hałas rozmów je na banicję skutecznie skazywał, ojcowe pogwizdywania je na wygnanie spisywały, matki pieśni, piosnki i piosenki je próżniowym kloszem przykrywały. A teraz, gdy matka w kuchni, ojciec z gazetą w fotelu zamknięty i tylko pytanie jadł będziesz nie będę, a teraz się musiał skupić na sobie, nie miał wyjścia innego, nie miał innej możliwości, jak toczyć ze sobą monologi wewnętrzne, topić się w strumieniu własnej świadomości i dochodzić do wniosku, że nadszedł ten moment, w którym warto by było się z tej cichej rzeczywistości na zawsze wymeldować, tak tak, rozwiązać umowę, zostawić klucze na stoliku, sprawdzić, czy wszystko się wzięło, pod ciężarem walizek się ugiąć i iść, iść szukać sobie miejsca nowego. Mógł w tej ciszy

zrobić to całkiem po cichu, całkiem niepostrzeżenie, niewidocznie, przezroczyście tak, żeby Go nikt nie zobaczył, nikt nie pytał. Tak, żeby nikt nie zdążył.

Wybrał więc sobie dzień odpowiedni, czekaniem należnie długim poprzedzony, które Go miało utwierdzić, miało Go upewnić w tym, czy się owóz matce i ojcu milczenie nie odmilczało, czy nie mierzą ku temu, by znów osiągnąć stan pokłótniowy i dźwiękami mieszkanie pogłościć. Ale okazało się, że wszystko nadal ustalone jest według klótniowego porządku, nadal wszystko jest przez ciszę uformowane, nadal milczenie odburknięciami ojcowymi i matczy-nych pytań ciche w powietrze eskapady, więc mógł, tak, mógł pętlę w pokoju swoim i w swoim spokoju do pleców rozluźnionych przyklejonym, sumiennie (mówi, że to się naprawdę wiązało z Jego sumieniem, Jego sumienie Mu przecież tę drogę wskazało, ono powiedziało działaj próbuj rób póki jeszcze możesz póki cię jeszcze widzieć nie chcą bo sobą są zajęci bo swoje milczenie muszą odgrywać muszą się kontrolować stale czy aby żadnego komentarza choćby do pogody zdarzenia telewizorowego nie wystosowali, więc działaj, działaj, bracie, kiedy można) spreparować. Mówi, że długo zastanawiał się, rozmyślał, rozwiązań szukał najtrafniejszych, co Mu się najlepszym stryczkiem okaże, co Mu pozwoli *raz a dobrze*, co Go uchroni przed repetycjami upokarzającymi, co Mu od ust odejmie porażkę, przed którą pierzchał z głową w ramiona wklejoną, której się bał, obawiał diabelskim

strachem wodoświęconym. Przedostał się na teren ojca (tak, na teren ojca się p r z e d o s t a w a ł o , na teren ojca się nie wchodziło, nie wbiegało bezkarnie i bezodpowiedzialnie, na teren ojca potrzebna była przepustka, teren ojca *halt!* poprzedzało, przed terenem ojca zasieki, a zaraz potem straż graniczna kontrola paszportowa bagażnika otwieranie, na terenie ojca miny intruza oczekujące, na teren ojca granica zielona prowadząca tych, którzy się o pozwolenie bali zapytać) w poszukiwaniu jakichś skutecznych zapętlaczy, opętłaczy gotowych pomóc Mu, gotowych spełnić Jego ostatnią prośbę, bo przecież był już prawie martwy, już prawie dożył k o ó n c a ś m i e r c i , już nie żył, a jeśli *jeszcze i wciąż*, to przynajmniej był umierający, a tacy odmów nie przyjmują, zawsze się tym prawem ostatnim podeprą, zawsze będą pak-tować, negocjować, będą, że jak to umierającemu od-mawiasz mnie który już zaraz za chwilę oj zobaczysz ty, mówić.

Mówi, że szukał ze szpiegowską ostrożnością, z poczuciem winy intruza, gołowatego złodzieja, któremu jeszcze wyrzut sumienia po plecach się mrowieniem rozpływa, ale znalazł, znalazł, kiedy już szuflady wysunął, kiedy parę par drzwiczek uchylił, kiedy przedmiotów ułożenie dokładnie zapamiętał, nim którykolwiek z nich podniósł i obejrzał, znalazł to, co Mu się w tej sytuacji wydało najtrafniejsze.

Mówi, że to był taki jedwabny stryczek, krawat może pod względem estetyki niedostatecznie sa-

tysfakcjonujący (może to nie była estetyka, mówi, ale jakaś estetyczka malusienka na pewno), ojciec miał Go na sobie w pierwszą komunię-komunę Jego brata, teraz pielęgnował go, pieścił, dotykał, kiedy sobie chciał tylko przypomnieć te chwile najcenniejsze, te chwile najwspanialsze, które synka, jego synka!, zaczęły kształtować, teraz już wiesz, mówił do Jego brata, synu co to jest odpowiedzialność teraz już wiesz co to znaczy być mężczyzną bo mężczyzna powinien się bać tak bać ale tylko boga tylko najwyższego, przywoływał ojciec do siebie te słowa, gdy sięgał do szafy i z namaszczeniem wyciągał krawat, kładąc go sobie na dłoniach z naleźnie bogobojnym namaszczeniem, z szacunkiem, jakby to był jakiś relikwiarz najświętszy, jakby się po jego dotknięciu zapewniało sobie pewne zbawienie, jakby jego widok uzdrawiał, jakby lśniący materiał zsyłał na patrzącego boskie lśnienie, olśnienie i oświecenie (oślepienia ojciec nawet nie brał pod obróbkę świadomości), patrz, mówił Mu, patrz i ucz się co to ojcem być znaczy co to kochać swoje dziecko patrz ty już jesteś duży ty dojrzały jesteś nie to co twój brat jemu jeszcze młodość pisana a ty co i gdzie wiara twoja gdzie twoja odpowiedzialność po matce wszystko po matce masz.

Wziął więc ten krawat, bo wydawało Mu się, że jego specjalność, jego wyjątkowość, której mu ojciec szczerze przydał, będzie dla Niego wybawieniem, do zbawienia Mu drogę skutecznie ułatwi, wyjmiecie z niej wszystkie gałązki przeszkód, przesunie

na pobocze niepowodzeń kamienie i wszystko się uda, wszystko się uda pomyślnie i pomaślnie prosto, tak, tak mu się wydawało, związał ten krawat z tym, co najlepsze, z tym, o czym ojciec Mu sprawił kazanie na górze (pościeli), z tym, co święte, boskie, a jeśli się z bożych narzędzi korzysta, to powodzenie się nad niepowodzeniem skutecznie zżęca, przybija je ciosem szybkim i skutecznym do tego porządku niebiańskiego, o którym Mu ojciec, z którym Mu ojciec i przez który Mu ojciec wychowawcze rygory zmuszony był, no nie mam synek innego wyjścia, zaostrzyć na dekalogu odwiecznej oselce.

Mówi, że związał ten krawat tak, jak wtedy najlepiej potrafił, zawiązał tę pętlę, wywiązał się z tej pętli naprawdę dobrze, rzecz by można, że cokolwiek profesjonalnie przygotował sobie na ostatnią drózkę, drogę wieniec pożegnalny, tak, najbardziej smuciło Go to, że będzie musiał się sam pożegnać, sam sobie będzie musiał dłoń uściśnąć, sam się będzie musiał przytulić, sam łzę obetrzeć, sam po głowie pogładzić i sam sobie, że no nie martw się jakoś to będzie gdzieś tam w końcu będziesz, powiedzieć.

Słyszał zza drzwi oszklonych, mlekiem farby obryzanych ojca gazetowe szelesty, kiedy się wężłowi przyglądał, kiedy sprawdzał, czy mocny jest na tyle, by Jego duszy i ciała i krwi ciężar udźwignąć, słyszał ojca nogi nerwowe podrygi, póki papuś nie spadł, póki się papuś ze stopy rozedrganej nie ześliznął, kiedy krawat na klamkę nizał, kiedy ten domo-

wy, jakby mu jego konstrukcję słodowy z uśmiechem podpowiedział, stryczek do życia nawoływał, słyszał matki garnkowe pobrzękiwania, szklanek dźwięczące stryśnięcia, kiedy sobie pętle krawatną na szyję zarzucał, słyszał suszarki włosowej melodię monotonną, kiedy pozycję próbował znaleźć wygodną na tyle, by na zaświetlowe kości bolączki nie musiał narzekać, słyszał sąsiada sikanie długie, sikanie piwem popołudniowym poprzedzone, kiedy poczuł, że Go krawat zaczyna rozumieć, że Go po przyjacielsku, chłódz no tutaj kamracie ty mój chłódz, poczyną ściskać-zaciskać, słyszał sąsiada kropelek złotych o porcelit spękany ciężkie uderzenia, słyszał sąsiedzkiej córki krzyczenie, że wyjdź bo nie mogę już dłużej, kiedy Mu jabłko adamowe poczęło gdzieś z tyłu szyi rosnąć, gdzieś tam pędy nowe zapuszczać się zdecydowało, słyszał zaściennej staruszki telewizorowego świata rozwrzeszczenie, kiedy Mu się krew poczęła policzkowo rozpychać, kiedy Mu się język giał buntowniczo i batowniczo o podniebo Jego ust uderzał, słyszał nad sobą młodomałżeńskiego łoża nienasycone podskoki, kiedy Mu mózg film począł emitować z przerwami na czarne reklamy niepamięci.

Słyszał to wszystko i czuł, tak, czuł dogłębnie do głębi Jego wstępujące te dźwięki natrętne i rozumiał, że tak dusząc się, nie może się udusić, czuł objawy wszelkie, czuł wszelkie na ciało obławy, czuł gorącość, czuł gorączkość podbrzuszną, oczu wybuluszenie, policzków twarzy uszu krwią spęcznienie,

słyszał szyjnych kręgów szycie bólem przemożne, ale brakowało Mu tego naczelnego, tego najważniejszego, tego najupragnionego, tego wyczekiwanego, szeptanego, modlonego efektu, objawu, o który Mu przecież chodziło najbardziej, który po świadomości sercu umyśle przebiegał naprzemiennie. Nie mógł się udusić, było Mu co najwyżej d u s z n o . Mówi, że wsparł się stopami o podłogę, uniósł się i z sił ostatnich korzystając, napał na pętlę, napał, aż się pojawiło w głowie zakręcenie, aż iskierki przedocznych obfite strzelania, aż czarno-czerwonych fajerwerków wybuchy podpówekowe, ale nie było śmierci, nie było niebędzności, niebytości, niesiebie. Nie był w stanie oddychać, powietrze przez usta gardło przełyk krtań nie potrafiło się precyzyzować, nie oddychał, ale żył przecież, zwiślał tak bezwładnie już wielominutowo, co wykluczało możliwość życia, życia jakiegokolwiek, miliżycia, mikrożycia, nanożycia, więc co, pytał sam siebie, co jest ze mną nie tak, że dusząc się, nie mogę być uduszonym, co jest nie na miejscu, że umierając, umrzeć nie mogę. I wtedy przyszło olśnienie, wtedy przyszła ta z *nagła* jasność i klarowność archimedesowa, i poczuł, że jest gdzieś w Nim w środku powietrze skrywane najskrzętniejszej, jest jakiś utajniony pęcherz pławny, jakieś życia źródło dodatkowe, które Mu nie pozwoli umrzeć, który Mu życie podtrzyma i na zawsze zatrzyma, ale nie z uprzejmości, a ze złośliwością żółciową, która się będzie śmiać z Niego, która Go będzie wystawiać na

pośmietnisko, ilekroć będzie próbował *spełnić* samobójstwo, tak, ona wiedziała, że zawsze z Nim wygra, zawsze Go na porażkę skaże, bo On inaczej tego nie zrobi, inaczej nie będzie próbował, On tylko wieszanie skuteczniał będzie, bo tchórzliwy-trwożliwy jest na tyle, by innej drogi, która do celu doprowadzić może, nie spróbować. Tak, było w Nim to powietrze, które Go skutecznie zapowietrzało, sprawiało, że się stawał zapowietrzony w każdej chwili nieoddychania normalnego. Tak, to zapowietczenie natrętne, gdy tak sobie wisiał, trwając na granicy pomiędzy *już* a *jeszcze nie*, skutecznie go z a p o w i e s z a ł o , i miał być już taki na zawsze, na *do grobowej deski*, na *do końca świata*. Tak, już na zawsze miał być z a p o w i e s z o n y .

Więc kiedy już minut należną ilość odczekał, kiedy się już upewnił, że jednakowoż nic z tego, wyswobodził się, o d p ę t l i ł s i ę tak, jak Go lekarz paręnaście lat temu złośliwie ratował, i złapał ten oddech z zewnątrz, ten oddech atmosferyczny, ten nie Jego oddech rdzeniowy-środkowy-wewnętrzny i zapatrzył się na krawat, i wpatrzył się w niego, jakby chciał wzrokiem hipnotycznym wycisnąć z niego odpowiedź. Ale nie, odpowiedzi nie było, odpowiedź Go miała za nic, odpowiedź nim gardziła dożgonnie, odpowiedź syciła się Jego porażką, bo przecież i jej, odpowiedzi, zdarzało się błędy popełniać, do złego pytania się dopasowując. Schował później krawat do tabernakulum szafy, ze śpiewem dziękczynnym, którego Go ojciec nauczył, z ust strzykającym, uklęknął jeszcze, nim się drzwi ze skrzypieniem małooliwnym

domknęły. I czekał, czekał, kiedy się wreszcie odpowietrzy, czekał, kiedy Go ktoś odpowiesi. Czekał.

Pan się pyta, czy jeszcze próbował, czy próbował szubieniczne techniki udoskonalać. Tak tak, oczywiście, że próbował, no jak pan to sobie inaczej wyobraża. Próbował. Kiedy w wojsku będąc, kiedy wojskiem będąc nie udało Mu się przejść przez Ultrapowiatowy Przedmiędzywojewódzki Okręgowo-kółkowy Konkurs Na Najlepszego Caprzykowca Wojska Polskiego. Tak tak. Próbował. Kiedy Mu na takim, wie pan, poważnym już, już ogólnokrajowym konkursie na dyktando, pod dyktando takiego aktora znanego dyktowanego, jakiś obrzydliwiec, jakiś natrętlowiec paskudny zapytywał się, czy powinien napisać *pežo* czy *peugeot*. Tak tak. Próbował. Kiedy napisał-spisał-opisał kronikę swojego miasta, swojej miejsciny-psiny, którą kochał, którą pielęgnował, której trawnik przed blokiem swoim przystrzygał, której zbierał śmieci, której mył klatkę schodową, której radnym być próbował (po tym też próbował), a później tej kroniki nikt Mu nie chciał wydać, że niby zdjęć za dużo, że druk zbyt drogi, że byłego to pan nie za bardzo ładnie opisał. Tak tak. Próbował. Kiedy się starał rodzinę sprzęgnąć, zaprzęgnąć do takiego programu, wie pan, tam inne rodziny też występowały, o sobie mówiły, się prezentowały, później jakieś pytania obłudnie głupawe, że czym Polacy kroją najczęściej marchewkę nożem zębami piłą łańcuchową. Tak tak. Próbował].

Mówi, że on swój wzrok przykleił do Niego tak bezczelnie, tak natrętnie, tak lubieżnie wtedy, gdy Mu czyjegoś wzroku było nieodwołalnie potrzeba, kiedy się nie mógł bez patrzenia czyjegoś obyć, gdy nie mógł zrozumieć, że jak to, że *dłaczego na brata tak, a na Niego nie*. Dlatego pozwolił mu na siebie patrzeć każdej przerwy, każdej minuty przedklasowej, przedklasówkowej i przedlekcyjnej, dlatego pominął to, że on nie był tym *dziewczyno* przemyślnie Go ignorującym, dlatego machnął ręką na te jego oczy, którymi Go systematycznie obklejał, które po Nim błdziły, którego z Niego zdzierały, ślizgały się po Nim, każdy zakamar z anal-ityczną pasją badały, które chciały wnikać, którym najbardziej zależało na tym, by w Jego wnętrzu przez wślizgnięcie, przez dreszcze, przez deszcze dreszczy zniknąć, wejrzeć w to Jego ciepło, pewnie przytulne, pewnie przyjemnie miękkie, pewnie na niego otwarte, pewnie pasywnie rozwarte. Musiał zobaczyć tę Jego słabość, musiał dostrzec i zidentyfikować, co Mu tam wewnętrznie cisza rodzicokłótniowa trawiła, czym się żywiła z mlaskaniem rozprzyjemnionym.

Więc trwali tak sobie w tym napięciu spojrzeniowym, na pięcie się do siebie tyłem odwracając, kiedy ich dzwonek do porządku, do ciał rządku przed klasą ułożonego przywoływał, więc trwali tak sobie zupełnie obok siebie, ciesząc się dusz pozacielesną

konsolidacją i mówi, że to Mu właściwie wystarczyło, nie było Mu jakoś, wie pan, specjalnie więcej potrzeba, nawet się cieszył (o, widzi, uśmiecha się teraz), że wreszcie może się choć troszkę poddusić, tak, mógł się z oddechowego obiegu na chwilę wyłączyć, tak, rozluźniało Go to wszystko na tyle, że gdzieś wyciekało to powietrze wewnętrzne, pierzchało, odlatywało, ale zaraz znów powroty, znów zapowietrzenie, znów zapowieszenie.

Mówi, że to się zdarzyło w szatni, zna pan te szatnie ciemne, zna pan te pręty (pręty ho ho pręty) brzęczące, kiedy się gówniarzeria rozpycha, kiedy się nawzajem, naprzemiennie popycha, że przesunę się kuwa że spierdalaj bo kuwa ryj skuję, zna pan, no zna pan, wie pan, jak oni się zachowują, jak się przeddomowym rozpasaniem zachłystują, jakby to już nie była szkoła, jakby że to niżej, że podpodłogowo podziemnie piwnicznie, więc tu już legislacja i jurysdykcja nauczycielska nie sięga, tu już zzabiurkowo grzmiąca sprawiedliwość swojego palca wetknąć nie może, tak myślą, biedaki, bo nie wiedzą, że nawet piekło działa wielopiętrowo. Ale wtedy (tak, mówi, że o tym *wtedy* mógłby w nieskończoność, mógłby cały czas, póki by się język nie stał na wióry) to była szatnia dziewiczo, ho ho, dla Niego na pewno dziewiczo, cicha, godzina już późna, późna w tym wymiarze pozalekcyjnym, kiedy gówniarzeria poza kratami murami bramą. On został, bo Mu kazała jakaś tam jedna kwiaty poprzestawiać popodlewać (tak, On wie, że to

zawsze dziewczynki robiły, ale ona wyczuła Jego słabość, ona Jego słabość wywąchała nosem długoletnią praktyką wytrenowanym), więc wychodził, wyswabiał się ze szkoły później niż to zwykle, w szatni samotnej się zaszył w poszukiwaniu kurtki butów straconych w tej ciemności szatnianej, w tej ciszy nie-naturalnej, i wtedy jakieś dźwięki ledwo przez uszy rejestrowalne usłyszał, pochwycił je na wędkę małżowiny i już źródła miał szukać, już docierać chciał do miejsca ich do Niego spływania, kiedy on przed nim stanął. Objawił Mu się. Ukazał Mu się. Ale Mu się nawet nie próbował przedstawić, nawet nie próbował zapytać, słowa żadnego wyszeptać, tylko już, tylko zaraz, tylko od razu, tylko *ad hoc* najskrajniejsze wobec Niego, w Niego, do Jego środka, środeczka, wnętrza najwewnętrzniejszego, tak, zaraz się w Jego usta wgryzł, wkleił jak wcześniej wzrokiem, zakleszczył Jego usta swoimi, a później. Później sprzączki paska odpinanego pobrzękiwanie, później kałesonów, bo wie pan to zima była, natychmiastowe zsuniecie. I oddał mu On pokornie swoje dobra wrodzone, i żył się z nim, i począł z nim oddychać, i począł się z nim pocić synchronicznie, i począł z nim bić sercem w jeden rytm rwany, i, i, i, i, iiiiimmmmmmmm.

A kiedy się *już* dokonało, a kiedy już było *po*, powiedział, a teraz mnie uduś teraz mnie uduś wreszcie jestem odpowietrzony-odpowieszony wreszcie mi pękł ten pęcherz powietrzny wreszcie wreszcie, ale kiedy oczy otworzył, już go nie było, już Go samego zostawił, już Go ze sobą tylko zostawił, i czuł powie-

trze gdzieś w środku znowu się gromadzące, czuł, że się pęcherz zarasta-zasklepia, że pokornie ta rana rozpulsowana i tylko na próbę, tak tylko dla samego sprawdzenia spróbował się poddusić, ale nic się nie stało, nic się więcej nie dało.

On mówi, że później go już nie widział, może szkołę miasto kraj planetę galaktykę zmienił, On teraz nie wie, On nawet nie wie, czy on w ogóle był.

Mówi, że o Jego żonie to nawet nie warto wspominać, nawet nie warto sobie uwagi Jego żonę zaprzętać, wie pan to była taka pokojówka codzienna, kucharka obiadowa, praczka najczystsza, hostessa imieninowo-weselno-urodzinowa, taka nisza na spernę niedzielna; Jego żony tak naprawdę nie było, bo wie pan, wyjścia do pracy zaranne ze Słońcem, powroty wieczorne z Księżycem, ale, mówi, Jemu to wcale nie przeszkadzało, Jemu to było na rękę, że Go żona cały czas za rękę nie trzymała, On ją sobie wziął, tak, w z i ą ł za żonę byleby coś mieć przy boku, żeby myśli sąsiedzkie lubieżne odgonić, żeby sobie nie myśleli, że On, kawaler, wieczorami przy telewizora ekranie różem przyprószonym automiłość uskutecznia. Żona była Mu potrzebna, żeby była wokół Niego, obok Niego, przy nim, nad Nim (gdy miała ochotę), pod Nim (gdy jej kazał), ale nigdy dla Niego. Tak, Jego żona dla Niego n i e b y ł a .

Żona Mu córkę urodziła, ale czy to taka zno-

wu córka klasyczna tatusiowi hołdująca, to On już tego nie jest pewien, mówi, że niby jedli razem obiady, czasem z gazety tylko oczy wychyliwszy, spytał jej co tam *w*, co tam *u* i na tym się właściwie ich kontakty kończyły, mówi, że to były takie kontakty niedostateczne, rodzicielsko zupełnie nieostateczne. On się później w sypialni zaszywał, święcił czas dla urzędniczego zapapieprzenia, spał, muzykoterapii się oddawał popołudniowej, bo córce nie chciał głowy sobą zaprzętać, bo wiedział, co to ojciec mówiący, grzmiący, kazania i homilie w nadmiarze wypowiadający.

To się wszystko też w zimę zdarzyło, też w zimie zimnem Mu nogi podsmażyło. Córka już w wieku była tych wychodzeń wieczornych, alkoholi badawczych spożywań, pierwszych wtuleń niepewnych, matek trwożliwych ostrzeżeń, poszła więc na to jedno z wymknęć pozadomowych, gdzie rodzicielskość na godzin kilka moc swą traci, gdzie się wolność rozpuszcza i rozpuszczają włosy, żeby *wiesz ładniej było*. Mówi, że miał ją odebrać, miał ją im wyrwać wśród jęków zawodu o godzinie ustalonej, a kiedy już silnikowi zamarniętemu trzewia rozgrzał, kiedy już popyrkiwaniem samochodowym ulice przepelniał, kiedy blok mieszkanie, no gdzie to do cholery jest, odnalazł, kiedy schody zdyszany, zduszany i zaraz zduszony przemierzył, do drzwi dotarł, zapukał, czas skrupulatnie odliczony, żeby córki nie zawstydzic, odczekał, kiedy znów zapukpukpukpukał, kiedy

klamkę nacisnął, drzwi uchylił, to Mu po raz pierwszy w życiu tchu poczęło brakować.

Leżeli. Skuleni. Wyprostowani. Wygięci. Jedni. Obok. Drugich. Wtuleni. W. Siebie. Wcałowani. Śnięci. Śniący. Nieważcy. Lekcy. Zwiewni. Papierowi.

Mówi, że nie wiedział, co robić, co, gdzie, w którą stronę, dlaczego, może to performans jakiś szaleńcy myślał sobie, Kantor nie, Hasiok nie, więc kto. Pytam Cię. Kto.

Mówi, że to niemożliwe, żeby poczuł gaz, gaz się z kuchenki przymilnie do powietrza łąszący, gaz był wtedy, wie pan, bezzapachowy, ale trujący, wtruwający się do organizmu lisio, niepostrzeżenie, zatruwający snem, ale tym już z rodzaju odwiecznych, tym o nieodwołalnej proweniencji. Więc do okna, otworzyć jak najszybciej, przez ciała, strumyczki ciał i po kamieniach wolnej czasoprzestrzeni doskakiwał do okien, i otwierał, próbował otwierać, bo to, wie pan, zima, wszystko gwoździami dobite, żeby im było cieplej. A później do niej się zabrał, do jej szukania, do sztucznego powietrza wdychiwania, do ocucania, do, do, do. Do niczego.

Mówi, że potem trafił tutaj (tak tak, to właśnie po tym wszystkim nie mógł nic powiedzieć, próbował, ale się nie dało, nie potrafił, mówi, że był już zbyt pusty, mówi, że w zostało w nim już tylko powietrze), podobno to było dla Niego miejsce najlepsze gdyby się tutaj znalazł już od urodzenia, mógłby się po życiu

przepędzać ze starym spokojem, już jako parolątek chodziłby sobie z laską na końcu podbitą gumą; chodziłby i obserwował, byłoby Mu łagodniej, byłoby Mu lżej, przecież nie miałby problemów, mógłby sobie czytać do zgonu, do k o ń c a ś m i e r c i , mógłby książkę niejedną napisać, a tak, to widzi pan, gdzie jest, jaki jest. On mówi, że Jego właściwie nie ma. On już siebie wcale n i e m a .

Mówi, że obserwuje pana już od dawna, widział, jak pan z lekarzem rozmawia, prosi, żeby jeszcze na trochę go tu potrzymać, widział, jacy to ludzie do pana przychodzili i wie, kim pan jest. On sobie myśli, że pan mógłby spróbować, no co panu szkodzi przecież pan pewnie nie raz takie rzeczy robił, no, niech pan spróbuje, a On nikomu nie powie.

Tak, proszę właśnie tak złapać (On mówi, że z pana rękoma to się na pewno uda), tak, tak jest dobrze, i teraz, na Jego znak, zacisnąć, hej rrrupp, zaczynamy. Widzi pan, jak się uśmiecha, jak pocieszenie wierzga nóżkami, śmieje się, no, śmieje się jak dziecko, o, zawstydził się nawet, zarumienił, jak ładnie zagulgotał, słodziutki jest, prawda, no już, już wystarczy, widzi pan, widzi pan przecież, że już *po*, proszę zobaczyć jak Mu powietrze w ślinie na wargach bąbelkuje-ulatuje

In articulo mortis: *dzyń cisza hop skończona.*



Kamil Gołaszewski – ma siedemnaście lat, mieszka w Zawierciu. Laureat ogólnopolskich konkursów literackich, m.in.: Marka Hłaski, Haliny Snopkiewicz, „Kaczego Pióra 2007”, „Lipy 2007”. Publikował w „Portalu Literackim” i „Alfred Hitchcock poleca”.

